

Warszawa, 1 września 2010 r.

**Szanowni Państwo
Członkowie Prawa i Sprawiedliwości**

Szanowna Pani Drogie Koleżanki
Szanowny Panie Drogie Kolegi

Postanowiłem powrócić do stosowanego kiedyś w mojej poprzedniej partii – Porozumienie Centrum – obyczaju pisania listów prezesa partii do jej członków. Zarówno wtedy, w latach 90., jak i dziś, chodzi o bezpośredni przekaz pewnych informacji i interpretacji wydarzeń, które albo nie docierają do Koleżanek i Kolegów za pośrednictwem mediów, albo też docierają, ale w formie mocno zniekształconej, niekiedy całkowicie opacznej, przekręconej, i to intencjonalnie. Intencje te z reguły sprowadzają się do jednego celu: zaszkodzić naszej formacji, wprowadzić zamieszanie, zarówno w opinii publicznej, jak i w szeregach członkowskich.

Gdy spojrzymy na przeszło dziewięcioletnie dzieje Prawa i Sprawiedliwości, możemy łatwo zauważyć pewną prawidłowość. Otóż niezależnie od tego, że niemal zawsze jesteśmy traktowani przez większość mediów, a zwłaszcza przez te tworzące tzw. główny nurt, z wielkim dystansem i jednostronnym krytycyzmem (co łatwo dostrzec na tle traktowania naszych politycznych konkurentów), od czasu do czasu mamy do czynienia z momentami szczególnego natężenia skierowanych przeciwko nam akcji. Są to akcje o specyficznym charakterze, próbujące całkowicie nas zdezawuować, skłócić, podważyć pozycję kierownictwa partii, doprowadzić do kryzysu. Akcje te występują z reguły w momentach, w których mają miejsce jakieś korzystne dla nas wydarzenia lub zmiany sytuacji. Można powiedzieć, że gdy tylko „zacerpniemy głęboki oddech”, natychmiast następuje próba pewnego rodzaju „przyduszenia” nas. Przykłady łatwo można mnożyć.

Gdy powstało Prawo i Sprawiedliwość i sondaże pokazały, że nowa formacja ma pełne szanse na wejście do parlamentu, a być może nawet na dwucyfrowy wynik w wyborach, przeprowadzono operację „Dramat w trzech aktach”. To znaczy wyemitowano w telewizji film będący jedną wielką insynuacją na temat rzekomych związków PC, a w szczególności niżej podpisanego, z niejakim Januszem Iwanowskim-Pineiro, a przez niego z aferą FOZZ.

Nie spotkało się to wtedy z pełnym poparciem innych mediów, niemniej bardzo nam zaszkodziło. Gdy jednak weszliśmy do Sejmu, uzyskując 9,5% głosów i 43 mandaty, w prasie niemal natychmiast zaczęły się ukazywać sondaże wskazujące, że mamy tylko 6% poparcia – a więc biorąc pod uwagę ówczesne realia byłby to ogromny spadek – a także liczne artykuły zapowiadające, iż z całą pewnością bracia Kaczyńscy rozbiją PiS, gdyż rozbijali już inne partie. Mój śp. Brat nie był nigdy wcześniej w żadnej partii (wbrew bardzo często głoszonemu pogładowi nie należał do PC i nie uczestniczył w jego pracach), ja zaś byłem w jednej, tj. PC, przy czym PiS w tej fazie swojej działalności, a więc jeszcze przed zjednoczeniem z Porozumieniem Prawicy, był prostą kontynuacją PC. Nigdy więc niczego nie rozbijaliśmy, ale fakty nie miały tu najmniejszego znaczenia – chodziło o to, by zaszkodzić.

Gdy śp. Lech Kaczyński został wybrany na prezydenta Warszawy, już po kilku tygodniach zaczęto go atakować za stan miasta, choć zastał jego administrację w stanie całkowitego rozkładu. A kilka miesięcy po wyborze, w lecie 2003 roku, przeprowadzono wielką akcję medialną w sprawie pomyłki, jaką popełnił w deklaracji majątkowej. Pomyłkę tę popełniła ogromna większość członków rządu, łącznie z premierem Leszkiem Millerem, oraz wszyscy prezydenci miast, ponieważ błędnie skonstruowano formularz. Nie przeszkodziło to jednak temu, że celem kampanii insynuującej w całkowicie absurdalny sposób świadome oszustwo, był tylko prezydent Warszawy. Akcja ta skutecznie, choć przejściowo, osłabiła zaufanie społeczne do Niego.

Gdy na wiosnę 2005 roku wyprzedziliśmy w sondażach Platformę Obywatelską, partia ta zaczęła przeciwko nam szybką, ostrą, a czasem brutalną akcję, do której dołączyła się znaczna część mediów. Natomiast po zwycięskich wyborach 2005 roku rozpętał się wobec nas atak, który Ryszard Legutko słusznie określił jako wściekłą polityczną. Trwał on bez jakiegokolwiek liczenia się z faktami przez cały dwuletni okres naszych rządów.

Po przegranej w 2007 roku nadano ogromny rozgłos wystąpieniu z PiS grupy dysydentów i podtrzymywano go długo, uzyskując realne skutki w postaci spadku naszych sondaży.

Gdy przeprowadziliśmy na początku 2009 roku zjazd programowy w Krakowie, próbowano go ośmieszyć, używając do tego Janusza Palikota i jego zapowiedzi udziału w nim.

Po wyborach do Parlamentu Europejskiego w 2009 roku, w których nie uzyskaliśmy wyniku na miarę naszych aspiracji, ale i tak był on znacznie lepszy od oczekiwań naszych przeciwników, wróżących nam poparcie poniżej 20%, reakcja była charakterystyczna. Pierwsza, natychmiast po ogłoszeniu wyników, można rzec bez przemyślenia: PiS zaczerpnął drugi oddech. Ale zaraz potem zaczęła się potężna kampania mająca skłócić i rozbić partię, wyolbrzymić spory, jakie miały miejsce na listach (skądinąd niewłaściwe i bardzo szkodliwe – powinniśmy z nich wyciągnąć wnioski na przyszłość), doprowadzić do głębokiego kryzysu.

Gdy w marcu 2010 roku odbył się kolejny kongres PiS, na którym zostałem wybrany na prezesa dużą większością głosów, gdzie bardzo dobrze wypadła część programowa, ze znakomitym wystąpieniem śp. Grażyny Gęsickej, i na którym wystąpił prezes Polskiej Akademii Nauk (skądinąd bardzo charakterystyczne – media całkowicie pominęły ten fakt, gdyż nie mieścił się w konstruowanym przez nie obrazie PiS jako partii „obciachowej”), cała uwaga mediów skoncentrowała się na w najwyższym stopniu niefortunnym wpisie na twitterze Pawła Poncyjljusza i aż do tragedii smoleńskiej sprawa ta była przez nie nieustannie podnoszona.

Tragedia smoleńska i ponowne wybory prezydenckie zmieniły sytuację. Mimo przegranej uzyskaliśmy wyraźny wzrost poparcia, zarówno w porównaniu z poprzednimi sondażami, jak i wynikami wyborów w 2007 r. Chodzi o zdobyte 36,5% głosów w pierwszej turze, w której konkurowali przedstawiciele wszystkich liczących się ugrupowań, a także 47% w drugiej turze, które choć oznaczały przegraną, to jednak wskazywały, iż mimo wieloletniej, niezwykle intensywnej, skierowanej przeciw nam kampanii, wciąż możemy liczyć na poparcie prawie połowy społeczeństwa. Sondaże partyjne PiS doszły do 40%, a zdarzały się i lepsze. W badaniach prowadzonych przez nasze stronnictwo, które począwszy od 2005 roku znakomicie się sprawdzały, pięciokrotnie wyprzedziliśmy nawet PO, dochodząc do 44% głosów.

Zgodnie z tym, czego można było oczekiwać, nastąpiła reakcja, tzn. kolejna kampania przeciwko nam. I to – jak niestety zdarzało się w przeszłości – z wykorzystaniem członków partii albo ludzi z nią związanych. Chodzi o tzw. list Marka Migalskiego. Trzeba zwrócić uwagę, że nie jest to pierwsze wystąpienie tego europośła, który uzyskał mandat dzięki wysunięciu go przez grupę posłów śląskich i – co muszę przyznać – mojej akceptacji. Pomijając zachowania całkowicie kompromitujące, których nie będę tu opisywał, Marek Migalski już rok temu złamał ważny zakaz obowiązujący w PiS i wystąpił w dyskusji publicznej z Palikotem, czym ogromnie pomógł temu znajdującemu się wtedy w niełatwej sytuacji politykowi PO. Dziś jego całkowicie bezpodstawne merytorycznie i sformułowane w niedopuszczalnym tonie wystąpienie, ogłoszone w momencie, w którym prowadzone są sondaże partyjne, o czym jako politolog nie mógł nie wiedzieć, stało się elementem potężnej kampanii, której absurdalność jest z jednej strony zabawna, ale z drugiej jednak groźna. Powoduje bowiem zamieszanie w naszych szeregach, a także obniża poparcie społeczne dla nas.

Najwyższy czas wyciągnąć wnioski z tych powtarzających się wydarzeń. Są one następujące.

Po pierwsze, nie można w żadnym wypadku twierdzić ani przyjmować, że osoby w ten czy inny sposób związane z PiS, które biorą w tych wydarzeniach udział, robią to z dobrą wolą. Trzeba by założyć, że nie mają elementarnego rozeznania politycznego, a takie założenie nie znajduje jakichkolwiek podstaw.

Po drugie, należy zdecydowanie odrzucić wszelkie próby analiz kampanii wyborczej na podstawie założeń sflowanych przez niechętne nam media i prawd niezweryfikowanych przez jakiegokolwiek empiryczne badania. Podstawą analizy, która jest prowadzona i która musi stać się przesłanką naszego dalszego postępowania, mogą być tylko fakty, liczba głosów, ich rozkład przestrzenny w poszczególnych regionach, miastach różnej wielkości, na wsi, porównania z wynikami poprzednich wyborów, analizy zachowań różnych typów elektoratów. Już wstępne rozpoznanie przeprowadzone tą metodą każe podać w wątpliwość różne głoszone w mediach stereotypy, np. ten o skuteczności tzw. miękkiej kampanii, nienawiązywania do sprawy Smoleńska itp. Nie ma dziś jeszcze podstaw do ostatecznych konkluzji, ale wiele wskazuje (choćby porównanie wyników w wielkich miastach z 2007 i 2010 roku), że skuteczność różnego rodzaju zabiegów mających zmienić mój wizerunek, a także znaczące ograniczenie tematyki kampanii, np. wykluczenie z niej niemal w całości kwestii związanych z postawą i poprzednią działalnością Bronisława Komorowskiego, nie przyniosło znaczących skutków. Dlatego ci, którzy dziś zabierają głos, przyjmując pozycję mentorów, w najlepszym razie wykazują się brakiem elementarnej wiedzy, któremu towarzyszy wskazana wyżej zła wola.

Po trzecie, powrót po kampanii, a dokładniej położenie większego nacisku na sprawę Smoleńska (gdyż sprawa Smoleńska, mimo zaleceń, była w pewnym zakresie podnoszona, np. w takich moich wypowiedziach jak „Wojna polsko-polska skończyła się tragedią” czy „Chłopcy bawili się zapałkami i podpalili dom” – to o politykach PO; czy w akcji prowadzonej przez Zbigniewa Ziobro, szczególnie na terenie województwa lubelskiego, skądinąd z bardzo dobrym rezultatem wyborczym) nie jest kwestią, którą można dyskutować w kategoriach innych niż zasadnicze. Jest to sprawa związana ze statusem naszej Ojczyzny, Polski, statusem wszystkich Polaków. To sprawa naszej lojalności wobec Rodaków w ogóle, wobec tych, którzy reprezentują polskie państwo, w tym Prezydenta RP. Wreszcie jest to sprawa lojalności wobec naszych Koleżanek, Kolegów, współpracowników, towarzyszy politycznej drogi. Postulat jej wyciszenia ma charakter, który można śmiało określić jako patologiczny, pokazujący głęboką degenerację naszego życia publicznego i niektórych jego uczestników. Trzeba też podkreślić, że nasze inicjatywy, a w szczególności powołanie zespołu sejmowego, doprowadziły do pewnego ożywienia działań władzy w sprawie Smoleńska, choć nie doszło tu do zasadniczej zmiany. To znaczy nadal prowadzona jest polityka serwilizmu wobec Rosji. Jeśli połączymy to z innymi elementami obecnej polityki zagranicznej, np. jaskrawo widocznym klientyzmem wobec Niemiec, to jeszcze raz trzeba podkreślić, że sprawa Smoleńska w ostatecznym rozrachunku dotyczy statusu naszego kraju jako państwa niepodległego, odgrywającego podmiotową rolę w stosunkach z innymi państwami, w tym także z potężnymi sąsiadami.

Po czwarte, sprawa uczczenia śp. Prezydenta RP Lecha Kaczyńskiego, Jego Małżonki Marii i wszystkich Ofiar katastrofy jest także kwestią o zasadniczym znaczeniu moralnym. Zaniechanie starań o nie byłoby nie tylko skrajną niełojalnością, ale także zgodą na utrwalanie dominacji tych, którzy robią wszystko, aby zepchnąć Polaków do roli narodu (raczej grupy o bliżej nieokreślonej przynależności) uznającego swą niższość, zawstydzonych swoją historią i kulturową przynależnością zarówno wobec Zachodu, jak i wobec Wschodu. Lech Kaczyński wszelkimi sposobami, często skutecznie, czynnie i energicznie przeciwstawiał się tej dominacji, wypierał ją z naszego życia. Stąd nienawiść, jaką budził w tzw. establishmencie, i stąd trwałość tej nienawiści, także po Jego tragicznej śmierci. Stąd także niechęć, jaką budził wśród tych czynników zewnętrznych, dla których mało ambitna postawa Polski i Polaków jest bardzo wygodna.

Ci, którzy 10 kwietnia 2010 roku wybierali się do Katynia, niezależnie od różnic, jakie ich dzieliły, mieli uczestniczyć w wydarzeniu, które w zamyśle Prezydenta miało być kolejnym aktem odrzucenia wskazanej wyżej postawy. Zaslugują więc na upamiętnienie, niezależnie od tego, że bardzo wielu z nich zasługuje na nie także ze względu na to, co uczynili dla Polski.

Po piąte, jednym ze sposobów atakowania PiS jest przypisywanie mi organizacji czy też inspirowania akcji obrony krzyża stojącego przed Pałacem Prezydenckim. Jest to insynuacja. Skierowaliśmy w tej sprawie list do wszystkich biskupów polskich. Szanujemy obrońców krzyża, traktując ich jako ludzi mocno związanych z wartościami religijnymi i patriotycznymi. Z oburzeniem odnosimy się do aktów jego profanacji, a także do niebywałej i nieprawdopodobnie wręcz wulgarnej agresji, jakiej ofiarą padają obrońcy. Jesteśmy oburzeni postawą Prezydenta RP, który wywołał konflikt, oraz władz rządowych i samorządowych Warszawy, które nie chcą przeciwstawić się łamaniu prawa i elementarnych reguł kultury. Jednak jako partia polityczna nie jesteśmy w ten spór zaangażowani. Proponujemy we

wspomnianym liście do biskupów rozwiązanie. Z nadzieją odnosimy się też do społecznej inicjatywy Komitetu Społecznego na rzecz budowy pomnika Lecha Kaczyńskiego i 95 ofiar katastrofy pod Smoleńskiem, ale zdajemy sobie sprawę, że w istocie wszystko zależy od władz państwowych i samorządowych. To one mogą doprowadzić do likwidacji konfliktu w ciągu jednego dnia, gdy tylko zechcą kierować się interesem społecznym i narodowym, a nie interesem establishmentu, który w istocie reprezentują.

Po szóste, zaangażowanie PiS w sprawę Smoleńską w najmniejszym stopniu nie może ograniczyć zaangażowania partii w inne bieżące przedsięwzięcia, zarówno dotyczące funkcji, jaką musi ona wypełniać jako opozycja, krytykując władzę – a jest do tego mnóstwo powodów – jak i wobec przygotowania do wyborów samorządowych, które są dla nas bardzo ważne. Każdy baczny obserwator sceny politycznej może zauważyć, że te zadania są wykonywane. Trudność tkwi w mechanizmie medialnym, koncentrującym się na wydarzeniach, na które jest zapotrzebowanie. A zapotrzebowanie jest na atak na PiS – za Smoleńsk, za krzyż, za rzekomą brutalność (chodzi o jednoznaczne stawianie sprawy roli takich osób, jak Palikot). Wystarczy podać przykład jednej naszej konferencji prasowej (7 sierpnia 2010) – 90% jej czasu poświęcono sprawom ekonomicznym i tzw. ustawie kompetencyjnej, czyli statusowi Polski w Unii Europejskiej, tymczasem przekaz medialny skoncentrował się prawie wyłącznie na sprawie Smoleńska. Stoi przed nami zadanie znalezienia sposobu ominięcia tych medialnych przeszkód i pracujemy nad tym.

Po siódme, wskazane wyżej sprawy stawiają na porządku dziennym zorganizowanie na nowo sposobu komunikowania się kierownictwa PiS i Klubu Parlamentarnego PiS z członkami partii. Zdaję sobie sprawę, że większość z Was nie ma po prostu czasu na dokładne śledzenie wszystkich wydarzeń, nawet tych bezpośrednio związanych z PiS, i siłą rzeczy może się znaleźć pod wpływem przekazów całkowicie lub częściowo zafałszowanych. Na najbliższym posiedzeniu Rady Politycznej mamy nadzieję przedstawić nowe sposoby działania w tej kwestii.

Chcę jednak już tu zapewnić, że wszelkie informacje o mojej „abdykacji” czy dymisji są całkowicie nieprawdziwe. To samo dotyczy informacji o tym, że działam pod wpływem jakiejś mającej przewrotne cele grupy. Jedno, co mogę dziś powiedzieć, to to, że musimy koniecznie uporać się ze zjawiskiem nielojalności w naszym ugrupowaniu, z grammi medialnymi prowadzonymi dla własnych celów itp. Brak pełnego zdecydowania w tej sprawie kosztował nas już zbyt wiele. Członkowie Klubu Parlamentarnego PiS i inne osoby z naszej partii zajmujące eksponowane stanowiska muszą wybrać lojalność lub pójść własną drogą.

Nie oznacza to oczywiście, że uniemożliwiamy dyskusję. Często rozpowszechniane wiadomości, że istnieją w tej kwestii ograniczenia na posiedzeniach władz partyjnych, są nieprawdziwe. Chodzi o to, czy rozumiemy, że bieg historii uczynił nas dziś depozytariuszami wartości narodowych, o których pisała przed kilkoma miesiącami zmarła niedawno Zofia Korbońska: „Czy chcemy niepodległości? Na pytanie to powinien sobie odpowiedzieć każdy Polak na świecie, jeśli chce skorzystać z najważniejszego, jakie mu przysługuje, prawa wyboru. Chwila zastanowienia absolutnie niezbędna póki jeszcze jest alternatywa, póki istnieje możliwość wyboru (...)”. Tylko my możemy przeciwstawić się fatalnemu biegowi spraw, z którym mamy dziś do czynienia. Kwestia takiej lub innej taktyki jest zawsze do dyskusji, ale dyskusja ta musi się opierać na faktach, a nie na arbitralnie przyjmowanych i – jak pisałem – często suflowanych, a jednocześnie wygodnych dla niechcących się narażać, założeniach.

Musi uwzględniać cel, tzn. zmianę sytuacji naszego Kraju w wymiarze międzynarodowym i wewnętrznym.

Dziś rysuje się przed Polską perspektywa narodu kurczącego się (a wiele narodów europejskich, nie mówiąc już o innych, ma się liczebnie rozwijać), pozostającego daleko w tyle za innymi i wyprzedzanego przez innych, jeśli chodzi o rozwój gospodarczy, poziom życia i poziom nauki. Wystarczy spojrzeć na to, w jakim tempie rozwijają się kraje, które łącznie mają przeszło 2,5 mld ludzi – Chiny, Indie, Brazylia, Rosja czy Turcja. Wystarczy uświadomić sobie, że jeśli chodzi o PKB na głowę jednego mieszkańca, nie tak odległe od Polski są już Brazylia czy Turcja, żeby zrozumieć, gdzie możemy się za niedługo znaleźć. A dodać do tego trzeba sprawę zaopatrzenia ludzi starszych i wiele innych negatywnych skutków społecznych, zmniejszania się populacji Polaków.

Polską nie mogą dłużej rządzić ludzie, których jedynym celem jest pilnowanie interesów establishmentu i którzy są jednocześnie głęboko przekonani, że w naszym kraju nic tak naprawdę zmienić się nie da. Którzy nie potrafią nawet wykorzystać środków „leżących wręcz na stole” (środki europejskie po prawie czterech latach, jeśli liczyć uczciwie, są wykorzystane w minimalnym stopniu), ale za to biorący się za zniszczenie tego, co stanowi jedyną moralną podstawę funkcjonowania naszego społeczeństwa, czyli religii katolickiej. Chodzi przy tym nie o kwestie wiary lub niewiary, tylko o świadomość, że to niszczenie jest jednoznaczne z otwieraniem drogi dla nihilizmu, który swoją twarz pokazuje, atakującw odrażający sposób krzyż i jego obrońców. W Polsce nie ma bowiem żadnego szerzej znanego systemu moralnego niż ten wyrastający z katolicyzmu. Dlatego jedyną realną dlań alternatywą jest nihilizm. Tylko my jesteśmy w stanie się temu wszystkiemu przeciwstawić. Dlatego mamy prawo i mamy obowiązek zewrzeć szeregi z całym zdecydowaniem, łącząc potrzebę dyskusji z potrzebą jedności, i zabiegać o to, żeby przyszłe wybory były dla nas zwycięskie.

2 wyrazów szacunku i serdeczności przedmówcy

Janusz Kruczyński